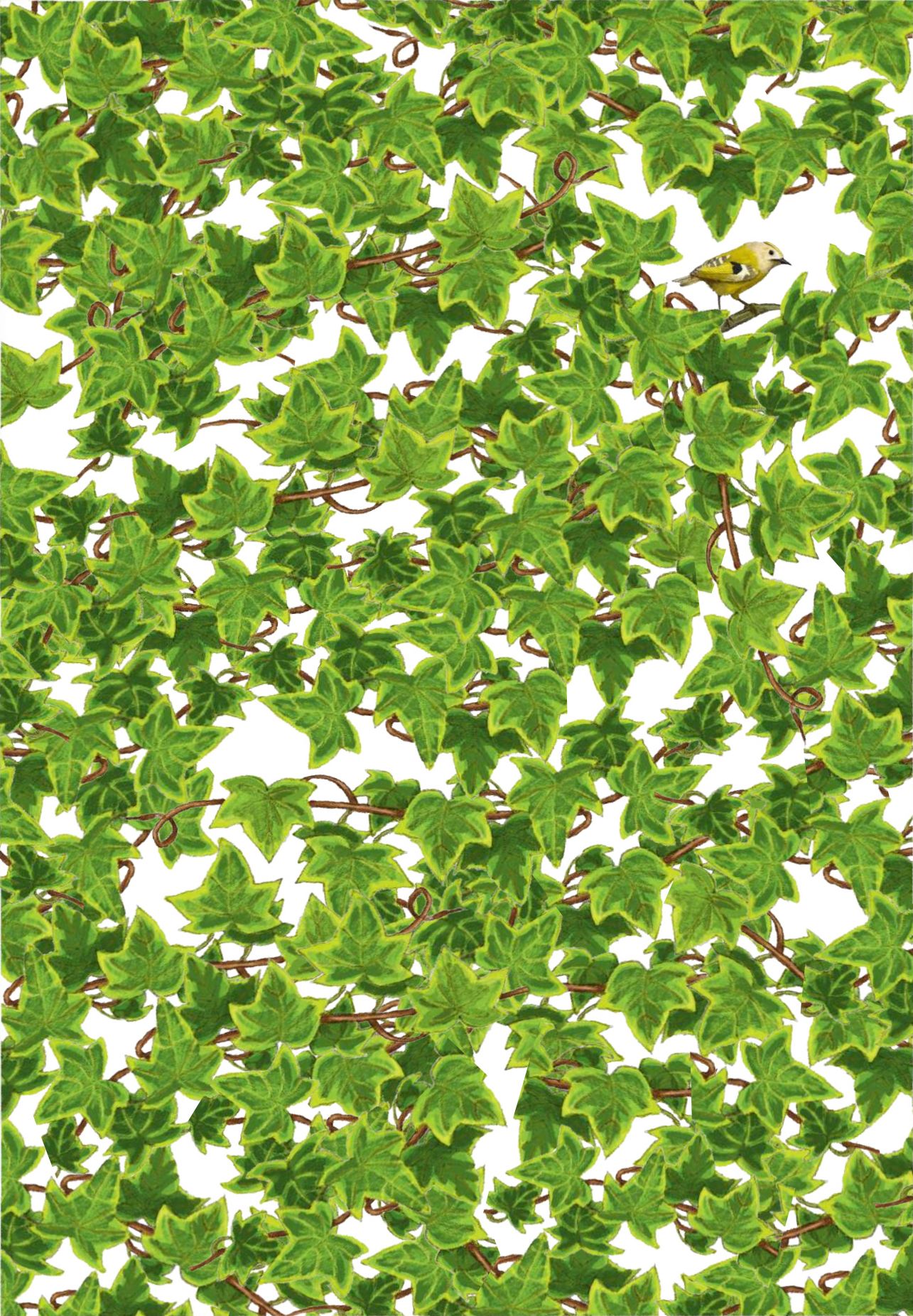


FRANCES HODGSON BURNETT



TAJEMNICZY  
OGRÓD

Kolorowa  
Klasyka





**Frances Hodgson Burnett**  
**Tajemniczy ogród**

Tłumaczenie:  
Jadwiga Włodarkiewicz

Opracowanie i redakcja:  
Maria Zagnińska

Ilustracje i okładka:  
Zuzanna Orlińska

ISBN 978-83-7517-531-8

© Copyright for this Edition by Wydawnictwo GREG® Sp. z o.o.

2025

Wydawnictwo GREG®  
ul. Klasztorna 2B  
31-979 Kraków  
tel. 12 680 15 50  
[www.greg.pl](http://www.greg.pl)

Księgarnia internetowa: [www.greg.pl](http://www.greg.pl)

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.  
Wszystkie prawa zastrzeżone.  
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana  
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Skład i łamanie:  
Pracownia Register



## Rozdział 1

### *Nikt się nie ostał*

W chwili, gdy Mary Lennox została wysłana do Misselthwaite Manor, ażeby zamieszkać tam przy wuju, twierdzono ogólnie, że jest to najniesympatyczniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziano. I było to szczerą prawdą. Twarz miała drobną i szczupłą, postać małą i chudą, włosy jasne, rzadkie i stale skwaszony wyraz twarzy. Włosy jej były żółte, tak samo zresztą jak twarzyczka, ponieważ Mary urodziła się w Indiach i wiecznie zapadała na zdrowiu. Ojciec jej był urzędnikiem administracji kolonialnej, wiecznie zapracowany i sam chory; matka zaś, słynna piękność, dbała jedynie o siebie, lubiła zebrania i zabawy, stale otaczała się młodym, wesołym towarzystwem. Nie pragnęła zupełnie dziecka; toteż gdy Mary przyszła na świat, matka oddała ją pod opiekę niańki, Hinduski, zwanej w tamtejszym narzeczu Ayah, której dano do zrozumienia, że jeśli jej zależy na wzglęдах pani, to powinna dziecko trzymać ile możności jak najdalej od jej oczu. Kiedy zatem

„Nie lubię tych wydm” – powiedziała sobie w duchu i silniej zaciśnęła cienkie wargi.

Konie pięły się pod górę, gdy Mary pierwsza dostrzegła światełko. Pani Medlock zobaczyła je również i odetchnęła z uczuciem wielkiej ulgi.

– Cieszę się z tego światełka – zawołała – to świeci się w domu stróża! No, za chwilę napijemy się gorącej herbaty.

Było to względne „za chwilę”, bo powóz, wjechawszy przez bramę parku, musiał przebyć jeszcze dwie dobre mile alei, nad którą stare drzewa, niemal stykające się czubami, tworzyły coś w rodzaju długiego, ciemnego sklepienia.



W końcu jednak wyjechali z alei na jaśniejsze miejsce i zatrzymali się przed ogromnie długim, niskim i nieregularnie zbudowanym domem. Na razie zdawało się Mary, że dom cały jest ciemny, dopiero gdy wysiadła, dostrzegła słabe światelko w jednym z okien na piętrze.

Olbrzymie, ciężkie wejściowe drzwi, zbite z masywnych, wsporniale rzeźbionych desek dębowych, były nabijane wielkimi, żelaznymi gwoździami i umocnione żelaznymi sztabami. Przez nie wchodziło się do olbrzymiego hallu, który był tak słabo oświetlony, że Mary wcale nie miała ochoty przyglądać się starym portretom oraz postaciom panów w pełnej zbroi. Gdy tak stała na kamiennej posadzce olbrzymiego hallu, wydawała się bardzo drobną, zagubioną tu, czarną figurką i czuła się też dziwnie mała i opuszczona.

Ubrany bez zarzutu, chudy, stary człowiek stał w pobliżu lokaja, który im otwierał drzwi.

– Ma ją pani wziąć zaraz do jej pokoju – rzekł ochrypłym głosem. – Pan nie życzy sobie jej widzieć. Rano wyjeżdża do Londynu.

– Doskonale, panie Pitcher – odparła pani Medlock. – Jeśli wiem, czego ode mnie chcą, niezawodnie to wykonam.

– Chcą od pani – rzekł Pitcher – jedynie, aby pan miał zupełny spokój i aby nie widział tego, czego widzieć nie pragnie.

Potem zaprowadzono Mary Lennox przez szeroką klatkę schodową i długi korytarz i znów w górę po kilku stopniach, potem znów przez inny korytarz i jeszcze przez jeden; póki nie natrafiono na drzwi prowadzące do jej pokoju, gdzie zastała ogień na kominku i kolację na stole.

Pani Medlock odezwała się bez ceremonii:

– No, jesteśmy na miejscu. Ten oto pokój i ten sąsiedni przeznaczone są dla panienki – i to musi panience wystarczyć. Proszę o tym nie zapominać.

W taki to sposób panna Mary znalazła się w Misselthwaite Manor i chyba nigdy w życiu nie czuła się taką prawdziwą „kapryśnicą” jak w owej chwili.



Nie zwykła była prosić o pozwolenie, gdy chciała coś zrobić, nie miała pojęcia, co to jest „zwierzchność”<sup>20</sup>, toteż na myśl jej nie przyszło prosić panią Medlock o pozwolenie chodzenia po domu, nawet gdyby ją była widziała.

Otworzyła drzwi, wyszła na korytarz i zaczęła wędrowkę. Korytarz był bardzo długi, rozgałęziający się w kilku kierunkach; po drodze natrafiała na różne schodki wiodące raz w górę, to znów na dół. Drzwi i drzwi bez końca – na ścianach mnóstwo obrazów. Czasem były to ciemne, poczerńiałe pejzaże, lecz najczęściej było portretów mężczyzn i kobiet w dziwnych, pysznych strojach z atlasu i aksamitu. Wreszcie Mary znalazła się w długiej galerii, której ściany zawieszane były całkowicie portretami. Nie przypuszczała, żeby w jednym domu mogło ich być aż tyle. Wolno szła przez galerię, przyglądając się wszystkim twarzom, a one ze swej strony zdawały się spoglądać na nią. Mary miała wrażenie, że ludzie z portretów chcieliby wiedzieć, co też wśród nich robi ta mała dziewczynka, która przybyła z Indii. Niektóre portrety przedstawiały dzieci – małe dziewczynki w ciężkich jedwabnych sukniach, szeroko odstających i sięgających im aż do stóp, oraz chłopców z bufiastymi rękawami, koronkowymi kołnierzami i długimi lokami lub sztywnymi krezami naokoło szyi. Mary zatrzymała się przed portretami dzieci, chciałyby dowiedzieć się imion, wiedzieć, kim były, dokąd odeszły i dlaczego tak dziwnie są ubrane. Była tam między innymi mała, sztywna dziewczynka, bardzo do Mary podobna. Miała suknię z zielonej brokateli<sup>21</sup>, a na ręku trzymała zieloną papużkę. Oczy jej miały bystry, pełen ciekawości wyraz.

– Gdzie teraz jesteś? – głośno spytała Mary. – Bardzo bym chciała, żebyś była tutaj.

Pewnie jeszcze żadne dziecko nie spędziło tak dziwnego poranka. Zdawać by się mogło, że w tym ogromnym niesamowitym domu nie ma żyjącej istoty oprócz małej Mary, wędrującej w górę i w dół szerokimi i wąskimi korytarzami, po których, jak jej się zdawało, nikt prócz

---

<sup>20</sup> *Zwierzchność* – bycie od kogoś ważniejszym, dające prawo do wydawania poleceń i stawiania zakazów.

<sup>21</sup> *Brokatela* – ozdobna tkanina, popularna w XVI i XVII wieku.



niej nigdy nie chodził. Skoro zbudowano aż tyle pokoi, to przecież musieli tutaj jacyś ludzie kiedyś mieszkać, lecz teraz było tu tak pusto, że Mary w głowie nie chciało się pomieścić, żeby to mogło być prawdą.

Dopiero gdy dotarła na drugie piętro, pomyślała o naciśnięciu klamki. Wszystkie drzwi były zamknięte, jak powiedziała pani Medlock, lecz gdy w końcu Mary położyła rączkę na jakiejś klamce i nacisnęła, strach ją opanował, poczuła bowiem, że klamka poddaje się bez trudności, a gdy popchnęła drzwi, otworzyły się z wolna. Były to ciężkie, masywne drzwi, prowadzące do wielkiej sypialni. Wisiały tam haftowane portiere i stały inkrustowane<sup>22</sup> meble, takie jakie widziała

---

<sup>22</sup> *Inkrustowany* – zdobiony wstawkami z innych materiałów, np. kości słoniowej, złota, innych gatunków drewna itp.



– Ojej! Naturalnie, że się uda! – odpowiedział. – Czary będą działać tak samo jak słońce, kiedy ogrzewa nasionka. Działać będą na pewno. Czy mamy zaraz zacząć?

Colin był rozpromieniony, Mary również. Pod wpływem wspomnień fakirów i derwiszów z ilustrowanych książek Colin poddał myśl, by wszyscy usiedli po turecku pod drzewem tworzącym nad nimi baldachim.

– Tak będzie, jakbyśmy zasiedli w jakiejś świątyni – rzekł Colin. – Jestem trochę zmęczony i chciałbym usiąść.

– No, no! Paniczu! – rzekł Dick. – Nie wolno zaczynać od mówienia, że się jest zmęczonym, bo czary uciekną!

Colin odwrócił się i spojrzał w jego niewinne, okrągłe oczy.

– Tak, to prawda – wyrzekł z namysłem. – Muszę wciąż pamiętać o czarach.

Gdy zasiedli kołem pod drzewem, wyglądali naprawdę tajemniczo i uroczyście. Ben Weatherstaff miał wrażenie, że go gwałtem wprowadzili na jakieś pobożne zgromadzenie. Z zasady przeciwny był należeniu do takich zgromadzeń, ale ponieważ tym razem była to sprawa młodego radży, zatem nie bronił się, a nawet pochlebiało mu to niejako, że go zaproszono do współudziału. Mary była w uroczyстым nastroju.



Dick trzymał królika na ręce i chyba dawał potajemnie jakieś znaki, których nikt nie dostrzegał, bowiem gdy usiadł po turecku jak inni, kawka, lisek, wiewiórki i jagnię zaczęły z wolna przybliżać się i wchodzić do koła, zajmując miejsca wedle własnego wyboru.

– Zwierzęta przyszły – rzekł Colin poważnie. – Chcą nam pomóc.

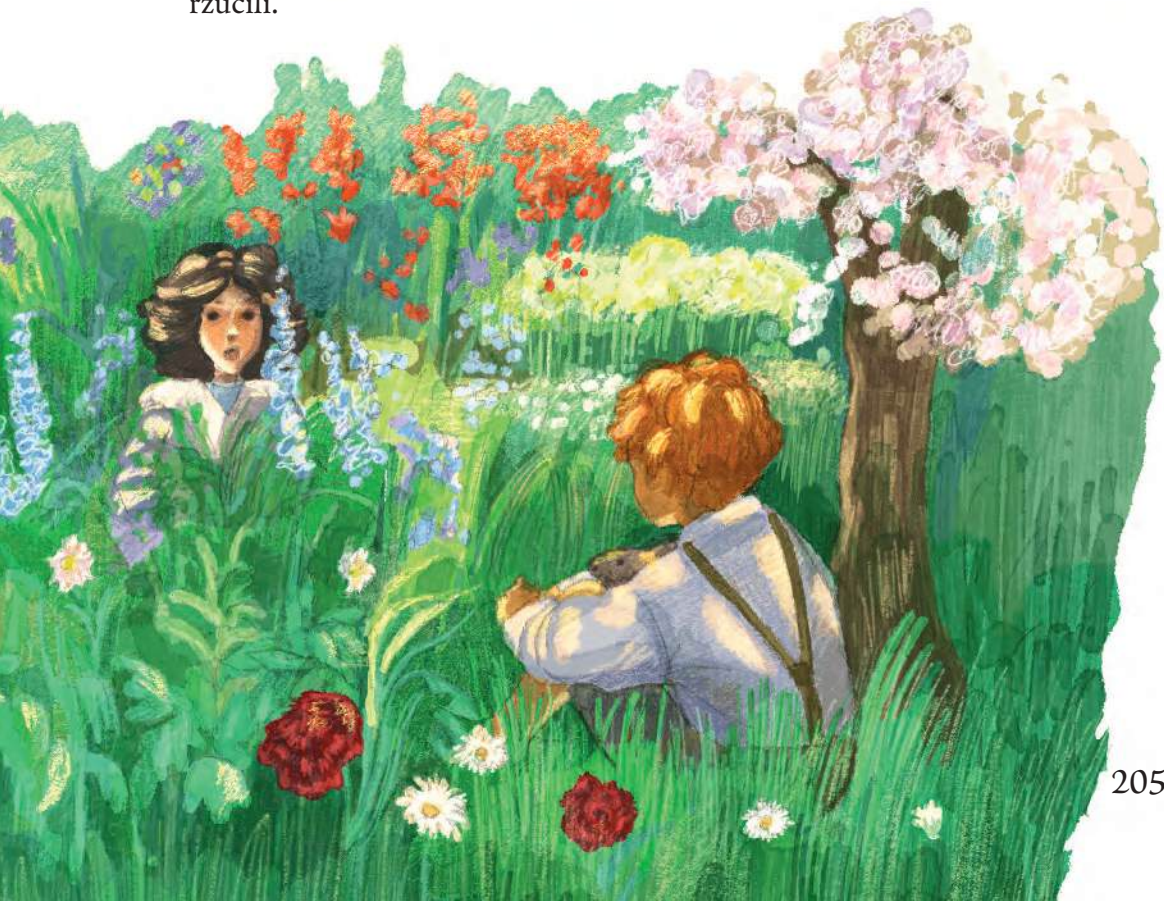
Mary zauważyła, że Colin naprawdę wyglądał prześlicznie. Głowę trzymał dumnie podniesioną, jakby się czuł jakimś kapłanem, a dziwne jego oczy miały w sobie tajemnicze blaski. Promienie słoneczne padały na niego poprzez baldachim z liści.

– Teraz zaczynamy – powiedział. – Mary, czy będziemy się kiwać w tył i naprzód, jakbyśmy byli derwiszami?

– Ja się nie mogę kiwać na wszystkie strony, bo mi reumatyzm wlaź w kości – rzekł Ben Weatherstaff.

– Czary was wyleczą – rzekł Colin tonem wielkiego maga – ale nie będziemy się kiwali, dopóki nie poczujecie się dobrze. Tymczasem będziemy śpiewali.

– Ja tam nie umiem śpiewać – rzekł Ben Weatherstaff trochę zły. – Jedyne raz, kiedy spróbowałem śpiewać w kościele, to mnie z chóru wyrzucili.



Bluszcz wisiał przecież gęstymi splotami nad zamkniętą furtką, klucz był zagrzebany pod drzewami, żadna istota ludzka od lat dziesięciu furtki tej nie przestąpiła – a jednak w ogrodzie rozlegały się ludzkie głosy. Słyszać było bieganie, tupot nóg, jakby ktoś gonił między drzewami, słyszać było jakieś dziwne szepty, okrzyki i tłumione wybuchy śmiechu. Brzmiało to jak śmiech młodych istot, jak nieskrępowany niczym śmiech dzieci, które starały się, by ich nie było słyszać, lecz w pewnym momencie nie mogły się powstrzymać, aby nie zaśmiać się głośniej. O czymże on śnił – na miłość Boską – cóż to on teraz słyszał? Czy zmysły postradał i roi mu się, że słyszy rzeczy niedostępne dla ludzkich uszu? A może o tym mówił wówczas ten cichy, słodki głos?

I naraz nadeszła chwila, kiedy nie można już było dłużej panować nad sobą. Tupot stawał się coraz szybszy i zbliżał się do furtki w murze – słyszać było młode, zdrowe oddechy, wybuchy niepowstrzymanego śmiechu – furtka rozwarła się na oścież, pękł bluszczu uniesiono do góry i całym pędem wybiegł chłopczyk, a nie widząc przybysza, wpadł prosto w jego objęcia.

Pan Craven w sam raz rozpostarł ręce, by uchronić chłopca od upadku z powodu nieprzewidzianego zderzenia; gdy zaś przyjrzał mu się zdumiony, począł z trudem chwytać oddech z wielkiego wzruszenia. Był to chłopczyk wysoki i bardzo ładny. Tryskało z niego życie, a szybki bieg zabarwił mu twarz rumieńcem. Odrzucił z czoła gęste włosy i podniósł ku panu Cravenowi parę wielkich, szarych oczu – pełnych chłopięcego śmiechu i wesela, ocienionych długimi, czarnymi rzęsami jak frędzlą. Oczy te bardzo pana Cravena wzruszyły.

– Kto to?... Co?... Kto?... – wyjąkał.

Colin inaczej sobie wszystko wyobrażał – nie tak układał sobie spotkanie z ojcem. A jednak to, że wpadł na niego wśród gonitwy, dobiegając pierwszy do mety, było może nawet lepsze. Wyprostował się, wyciągając się, jak tylko mógł najbardziej, a Mary, która się z nim goniła, wypadła równocześnie przez furtkę i była pewna, że widocznie Colin dotąd umyślnie się kurczył, a teraz dopiero wyprostował na całą swą wysokość.

– Tatusiu – powiedział – jestem Colin. Pewnie nie wierzysz, tatusiu. Ja sam ledwo mogę uwierzyć. Jestem Colin.



Tak samo jak pani Medlock, nie mógł pojąć, co znaczą słowa ojca: „W ogrodzie! W ogrodzie!”.

– Tak, tak – trzepał Colin. – Ogród to działał i Mary, i Dick, i stworzonka, i czary. Nikt o tym nie wie. Trzymaliśmy to w tajemnicy, żeby tobie, tatusiu, najpierw o tym powiedzieć. Zdrów jestem, mogę Mary prześcignąć. Będę atletą.

Mówił to wszystko jak normalny i zdrowy chłopiec – twarz mu pałała, słowa padały jak grad, a dusza pana Cravena drżała ze szczęścia.

Colin wyciągnął rękę i położył na ramieniu ojca.

– Czy się tatuś nie cieszy? – pytał. – Czy tatuś niekontent? Będę teraz żył zawsze, zawsze, zawsze!

Pan Craven oparł ręce na ramieniu chłopca i milczał. Przez chwilę nie mógł odzyskać mowy.





## Spis treści

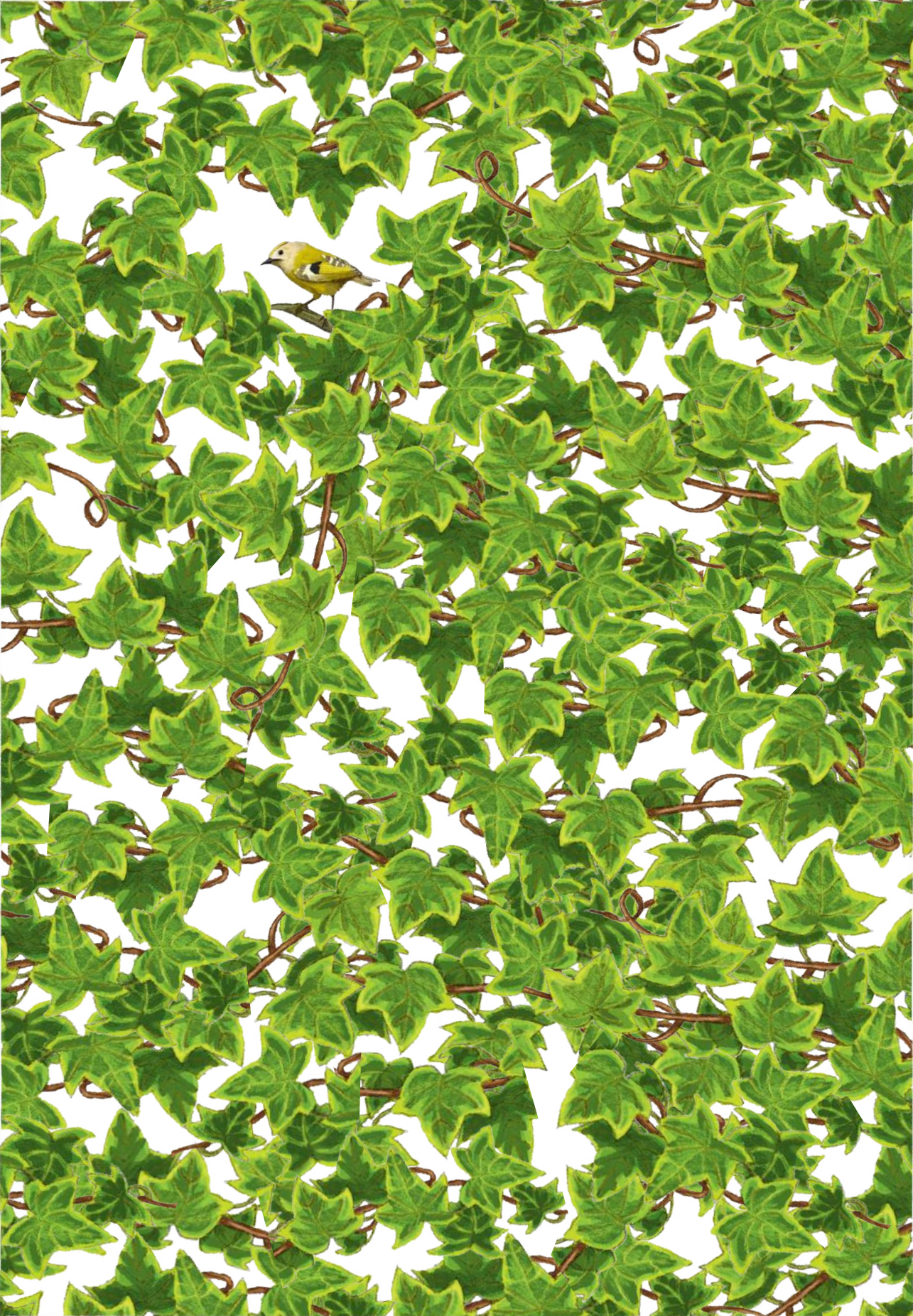
Rozdział 1	
Nikt się nie ostał.....	5
Rozdział 2	
Panna Mary kapryśnica.....	11
Rozdział 3	
Przez wrzosowisko.....	19
Rozdział 4	
Marta.....	24
Rozdział 5	
Krzyk w korytarzu.....	39
Rozdział 6	
„A jednak ktoś płakał”.....	45
Rozdział 7	
Klucz do ogrodu.....	53
Rozdział 8	
Gil wskazał drogę.....	59
Rozdział 9	
Najdziwniejszy dom.....	67
Rozdział 10	
Dick.....	76
Rozdział 11	
Gniazdko mysikrólika.....	87
Rozdział 12	
„Czy mogłabym dostać kawałek ziemi?”.....	95
Rozdział 13	
„Jestem Colin”.....	104





Rozdział 14	
Młody radca .....	117
Rozdział 15	
Budowanie gniazdka .....	129
Rozdział 16	
„Nie chcę” – powiedziała Mary .....	141
Rozdział 17	
Napad .....	148
Rozdział 18	
„Nie traćmy czasu” .....	155
Rozdział 19	
„Nadeszła chwila” .....	162
Rozdział 20	
„Będę żył zawsze! Zawsze! Zawsze!” .....	173
Rozdział 21	
Ben Weatherstaff .....	181
Rozdział 22	
O zachodzie słońca .....	191
Rozdział 23	
Czary .....	197
Rozdział 24	
„Niech się śmieją” .....	209
Rozdział 25	
Zasłona .....	220
Rozdział 26	
„To matka!” .....	227
Rozdział 27	
W ogrodzie .....	236



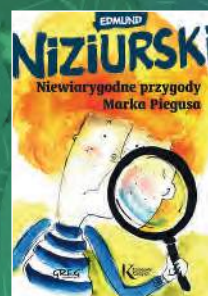


Gdy Mary Lennox przyjeżdża z Indii do domu wuja, nie wie o tym, co znajdzie w zamkniętym i opuszczonym ogrodzie.

Również jej kuzyn Colin nie ma pojęcia, co czeka na niego, gdy odważy się tam wejść. Razem ze swoim przyjacielem, Dickiem, i jego oswojonymi zwierzętami dzieci spędzają w ogrodzie każdy dzień, starannie strzegąc swojej tajemnicy. Zaś ogród staje się miejscem prawdziwie magicznym, pełnym niespodzianek i zmieniającym całe ich życie na lepsze...

Teraz i ty możesz poznać sekrety tajemniczego ogrodu!

Skompletuj całą serię **Kolorowa Klasyka**:



i inne tytuły.

**K**olorowa  
Klasyka

ul. Klasztorna 2B ■ 31-979 Kraków  
www.greg.pl

ISBN 978-83-7517-531-8



9 788375 175318 >